

WYCZUCIE

Olga Tokarczuk jest jedną z pionierek i orędowniczek zwrotu ku emocjom, ku twórczości przedkładającej odczuwanie nad myślenie.

Eliza Kącka

Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego



dr Eliza Kącka

Adiunktka na Wydziale Polonistyki UW. Opublikowała m.in. książki akademickie: *Stanisław Brzozowski wobec Cypriana Norwida* i *Lektura jako spotkanie. Brzozowski – tekst – metoda*, a także prozatorskie *Elizie* i *Po drugiej stronie siebie*. Członkini zarządu głównego Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i kapituły Nagrody Literackiej Gdynia. Recenzentka literatury najnowszej. eliza.kacka@gmail.com

Śledząc w napięciu mowę noblowską Olgi Tokarczuk publiczność polską zaskoczyło pod koniec wydobycie z głębokiego lamusa polszczyzny słowo „czułość”. Nikt dzisiaj nie mówi „bądź dla mnie czuła” lub „doznałem wielkiej czułości” itd. – słowo to zachowało prawo bytu tylko w literaturze, i to nie najnowszej. Z jednym wyjątkiem: jeśli pojęcie „czułość” w ogóle przetrwało w inteligentnej pamięci czytelników współczesnych, to dzięki jednemu autorowi, a konkretniej: jednemu jego utworowi. Pod koniec swojego przemówienia Olga Tokarczuk zechciała wspomnieć, że czułość „nie ma swoich emblematów ani symboli”. Otóż emblemat taki, a nawet symbol, oczywiście, istnieje – i jest znany miłośnikom poezji. Utwór, który go przynosi, trzeba tu przytoczyć w całości. Jest to wiersz LVI cyklu *Vade-mecum* Norwida:

Czułość bywa – jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny – – –

Potencjał znaczeniowy tej rozbudowanej definicji, jaką stanowi Norwidowski liryk, doczekał się komentarzy wielce rozmaitych i z reguły nietrafnych. Niemniej wizerunek srebrnego czasomierza na warokocyku z włosów zmarłej żony – ostatnie przypomnienie nieboszczki – utrwala pewien emblematyczny sentyment znamieny w połowie XIX w. dla niższych sfer mieszczaństwa. Taką dewizkę sprawia sobie Flaubertowski pan Karol Bovary, a widzimy ją

EVERETT COLLECTION/SHUTTERSTOCK.COM

także na kamizelkach kilku prowincjuszy z *Bouvarda i Pécucheta*. Inaczej mówiąc, czułość w sensie, jaki tropił Norwid, nie była ani uczuciem arystokratycznym, ani plebejskim. Stanowiła zapowiedź sentymentów klasy średniej, której spadkobiercą jest w przeważającej mierze dzisiejsze społeczeństwo. W tym sensie czułość stanowi ostatni refleks romantyzmu – tak się mający do miłosnej frenezji jak księżyc do słońca. Jest to uczucie legitymizowane, dopuszczalne i traktowane z wyrozumiałością. Istny korek zatykający wielką butłę rozpaczy.

Stąd to leksykografowie obchodzą się z tym pojęciem ostrożnie. Czułość to stan ducha niestabilny, gotowy w każdej chwili rozkrzyczeć się desperacją lub popaść w grobową melancholię. O tym przecież pisze Norwid. Nic bardziej instruktywnego jak oględny artykuł w tzw. Słowniku warszawskim (Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego) sprzed 120 lat, w którym pojęcie czułości jako takiej zostaje przypisane wyłącznie medycynie: „Anat.: Nerw czułości = nerw bloczkowy (*nervus patheticus*)”. Skojarzenie głęboko nieprzypadkowe. Od czułości do neurozy jeden krok.



Dalej też jest ciekawie. „Czuły” (bądź „czutki” i „czutliwy”) znaczy wrażliwy na bodźce. Dalej pojawia się sens „czujny”, w następnej kolejności „serdeczny”, potem „rzewny” i staropolskie – pamiętne z Kochanowskiego – „bezseny”. I dopiero na końcu ujawnia się znaczenie dziś dla nas oczywiste: czuły jest wskaźnik bądź inny aparat pokazujący drobne zmiany badanego obiektu. Czuły jak seismograf, jak licznik Geigera – w takim sensie używamy tego słowa do dzisiaj.

Lecz cóż z Norwidowską czułością? W Słowniku warszawskim, a zatem w świadomości językowej przełomu XIX i XX w., jej rolę odgrywa słowo „tkliwość”. Czytamy: „Czart zmysł tkliwości wiąże miękkością, lubością”; „trzeba dobrze umieć swój język, żeby go zrobić zachwycającym tłumaczem prostoty, przymienia i tkliwości”. I jako puenta: „Tak tkliwa, że nie może patrzeć bez płaczu, kiedy kurczę zarzynają”. Ten ostatni przykład przemówiłby do wrażliwości Olgi Tokarczuk.

Inaczej mówiąc, właśnie tkliwość wpisuje się w krąg skojarzeń, do którego sięga nasza niedawna noblistka. Tkliwość to *sensibilitas*, spokrewniona przez leksykografów z pojęciem „dotkliwość”. A co dotkliwe, to boli. Tak jak Olę Tokarczuk boli powszechna nieczułość. Z semantycznego punktu widzenia istotę rzeczy wyznacza tu pokrewieństwo (bądź, w wymiarze genetycznym, genealogia) tkliwości ze zmysłem dotyku. Przypomnijmy sobie, jak często na różnych emblematkach pojawiają się stulone, piastujące dłonie. Tkliwość kojarzy się z gestem przytulania, o którym pisze autorka *Domu dziennego, domu nocnego*. To właśnie przez palce odczuwa się bicie serca istot, w których dopatrujemy się stworzeń sobie równych (niektórzy mówią w tym miejscu: bożych). Tych, które chcielibyśmy chronić i w ich niepowtarzalnej jedności docenić.

Tkliwość koresponduje z wrażliwością na krzywdę i kruchość istnienia, które tak właśnie – dotkliwie – odczuwa polska noblistka. Nie ma w tym nic z czułościowości, przeciwnie: czułościowość bądź przeczulenie, jakkolwiek wyrastają z tego samego rdzenia, uszczelniają granice ego, miast otwierać je na świat doznań i uczuć innych istot. Jest to empatyczne otwarcie, zależne nie tylko od indywidualnej uczuciowości, lecz także od wizji świata. Przy czym, jak to z wizjami bywa, stanowi ona czystą rewelację, jest intuicyjnym objawieniem istoty rzeczy. Sens tej rewelacji polega na zaprzeczeniu powszechnego przekonania, jakoby świat natury i praw nią rządzących był bezduszny i całkowicie wobec wszystkich swoich części składowych – z człowiekiem włącznie – obojętny. Toteż właśnie stosunek świadomości do świata natury stanowi dla Tokarczuk paperek lakmusowy wrażliwości współczesnej. Mowa noblowska głosi:

Jesteśmy wszyscy – my, rośliny, zwierzęta, przedmioty – zanurzeni w jednej przestrzeni, którą rządzą prawa fizyczne. (...) Nasz układ krwionośny przypomina systemy dorzeczy rzek, budowa liścia jest podobna do systemów ludzkiej komunikacji, ruch galaktyk – wir spływającej wody w naszych umywalkach. (...) Mikro- i makroskala ukazuje nieskończony system podobieństw.

Nie jest to pogląd nowy, ale nie jest też wyrazem tradycyjnego humanizmu. Idzie o taką wizję świata, która z samozwańczego „pana stworzenia” czyniłaby brata wszystkich istot. Delikatność w traktowaniu innego staje się – przy takiej zamianie ról – warunkiem ciągłości i więzi moralnej świata. Wychodząc od gestu, staje się sposobem bycia. Jasne jest, że obraz istot zanurzonych w jedności, poddanych tym samym – jak demokratyczna jest grawitacja! – prawom fizyki został przez Tokarczuk spisany nie dla pożytków poznawczych. Rzecz nie w reformie myślenia, lecz odczuwania. Wystarczy zdać sobie sprawę, jakie stany psychiczne, jakie uczucia ta nowa czułość wyklucza: drapieżność, instykt władzy, zawiść, gruboskórność, nietolerancję – intuicje moralne, które legły u podstaw kilku wielkich religii, niezdolnych do wcielenia ich w życie. „Istota czująca”, o której autorka *Biegunów* wypowiada się w szkicach i myśli w prozie, to antyteza tego samego pojęcia u Kartezjusza. Określa się ona – wedle mnie – mań pisarki – nie przez „posiadanie rozumu”, ale przez „zdolność do przeżywania cierpienia i przyjemności”. Krótko mówiąc, Olga Tokarczuk jest u nas jedną z pionierki i orędowniczki zwrotu ku emocjom, ku twórczości przedkładającej odczuwanie nad myślenie.

Myśl autorki *E.E.* zmierza do – nieco przymusowego, przynajmniej – sojuszu intelektu z tzw. myślą słabą. Tkliwość zdecydowanie stawia tu w stan oskarżenia wszelką formę złośliwości, ironii czy sceptycyzmu poznawczego; na plan pierwszy wysuwa się tajemnica istnienia. Tajemnica niesprowadzalna do zagadki, gdyż – idąc za intuicją Gabriela Marcela – tajemniczy się sobie nie przedkłada, w tajemnicy się przebywa. To ona zamyka w sobie nasze istnienie. Oczywiście taka metafora może mieć umocowanie religijne (czerpie w końcu ze źródeł teologicznych). Może jednak – i tak jest w wypadku Tokarczuk – wchodzić w alians z pozainstytucjonalną duchowością. Zauważono to już dawno. „Chodzi tu bowiem – pisała Kinga Dunin – o pewien pokrewny religii sposób myślenia, którego w dzisiejszym świecie najszlachetniejszymi przedstawicielami są często ateści. Jest to religijność, która nigdy nie umości sobie wygodnego miejsca w żadnym kościele, wykazuje też pewne powinowactwo z utopią. Ostrożną utopią późnej nowoczesności, która nie ma odwagi tworzenia projektów, ale ma odwagę wiary w niekonieczność istniejących sposobów urządzenia świata”.

Utopijność, o której pisze Dunin, pozostaje w gruncie rzeczy rewersem świata realnego, podejmując misję antycypowania przemian wrażliwości czy wartościowania. Przeprowadzka na wyspę Utopia oznacza więc zgodę na małą społeczno-etyczną rebelię. Na pochwałę słabości, na równouprawienie wykluczonych, na szacunek dla wszystkich przejawów życia. W cytowanym szkicu *Maski zwierząt* znajdujemy fragment:

Empatia ma stosunkowo krótką historię w dziejach ludzkości. Prawdopodobnie pojawiła się gdzieś na Wschodzie przynajmniej sześć wieków przed Chrystusem. W każdym razie nikt przed naukami buddyjskimi nie nazwał ani nie dowartościował tej nowej postawy – patrzeć na drugiego tak, jakby samemu się nim było, nie ufać pozornej granicy, która oddziela nas od innych, ponieważ jest ona złudzeniem. Cokolwiek dzieje się tobie, dzieje się mnie.

Jeśli taką właśnie postawę empatyczną połączyć z dynamiką tego, co Tokarczuk nazywa „wglądem”, otrzymujemy odpowiedź, skąd bierze się w jej pisaniu tendencja do – jak sama to nazywa w artykule *Powiem wam, kto uratuje świat* – „perspektywy panoptykalnej”, zarazem z lotu ptaka i z wnętrza mikroorganizmu. To „dwuwidzenie” rozpuszcza granice, zwiąja i rozwija panoramy, swobodnie poczyna sobie z czasem i przestrzenią. „Wgląd to nagle, całościowe, spontaniczne uświadomienie sobie za jednym razem istoty tego, co postrzegane. Jest to szczególny rodzaj percepcji – wielopoziomowej i równoczesnej. (...) To rozpoznanie zarazem intelektualne, emocjonalne i intuicyjne”. Nie należy tej formuły sprawdzać z akademickim wykładem fenomenologii czy podręcznikiem psychologii postaci (terapia Gestalt), ale umiejętnie przymierzać ją do prozy Tokarczuk. Wystarczy zapoznać się choćby z opowiadaniem w *Domu dziennym, domu nocnym*, by z charakterystyk bohaterów wypreparować analitycznie tendencje, o których tu mowa: oglądu z perspektywy różnych naraz władz emocjonalno-poznawczych, przeskakującego empiryczne ograniczenia – tak fizycznej czasoprzestrzeni, jak i powieściowego chrotonopu. Weźmy opis Takiego-a-Takiego:

Taki-a-Taki jest jednym z tych ludzi, którzy wyobrażają sobie Boga tak, jakby on stał tam, a oni tu. Taki-a-Taki wszystko widzi na zewnątrz siebie, nawet siebie widzi na zewnątrz siebie, ogląda siebie, jakby oglądał fotografię. Z sobą obcuje tylko w lustrach. (...) nawet dla siebie Taki-a-Taki jest na zewnątrz. Nie ma w środku Takiego-a-Takiego nic, co by patrzyło od środka, więc nie ma refleksji. Wtedy widzi się duchy.

Osobliwa jest ta pisarska teoria duchowej osmozy, wyrównywania stężeń psychicznych między jednostką a otoczeniem, przelewania się substancji istnieniowej między poszczególnymi bytami. Bo skoro Taki-a-Taki ma w sobie puste miejsce po refleksyjności, może wśliznąć się w nie duch – do pewnych granic, jak mówi poeta, do pewnych rozsądnych granic. Nadmiar oznaczałby bowiem dezintegrację, a w świecie Tokarczuk wszystko zmierza raczej ku – panpsychicznej na poły – integracji. Czuły narrator, o którym opowiadała w mowie noblowskiej, jest właśnie dźwignią i tubą takiego procesu. „Czwarta osoba gramatyczna”, której nie ma – acz na prawach asocjacji można ją kojarzyć z czwartym wymiarem – miałyby być w gruncie rzeczy spełnieniem postulatu nadczucia, takiego wglądu, który pozwoliłby swobodnie przechodzić przez ściany i światy, przecinać życia biologiczne i psychiczne, transcendować i wędrować z duszami – albo i bez nich:

Gdyby ktoś umiał spojrzeć na nas z góry, zobaczyłby, że świat jest pełen ludzi biegających w pośpiechu, spoconych i bardzo zmęczonych, oraz ich spóźnionych, pogubionych dusz, które nie mogą nadążyć za swoimi właścicielami. Robi się z tego wielkie zamieszanie, dusze tracą głowę, a ludzie przestają mieć serce. Dusze wiedzą, że zgubiły swojego właściciela, lecz ludzie często w ogóle nie zdają sobie sprawy, że zgubili własną duszę.

Oczywiście można czytać ten fragment ze *Zgubionej duszy* jak mały traktat o zagubieniu (nomen omen) we współczesności. Ja jednak przytaczam ten wyimek dla powtórnego także tutaj spojrzenia scalającego – zarazem z góry, jak i ze środka świata; spojrzenia „nadwidzającego”, gdyż tym samym nadzmysłem obserwacji ogarniającego peregrynację zwierząt, ludzi, duchów i dusz. Melancholia, a może nawet rozpacz z powodu zatrąty życia duchowego, zostaje tu opowiedziana jak sytuacja rozminięcia się z kimś kochającym. Sytuacja dotkliwa, ale jednak odwracalna – na gruncie wszechświatowej czułości. Czułość bowiem w prozie Tokarczuk pozostaje ważną składową *modus vivendi*, a nie tylko *scribendi*. A czasem bywa po prostu wyrażaną wprost delikatnością względem świata żywych – i świata rzeczy.

Tokarczuk stara się zaprojektować świat, w którym osłabiony jest czynnik dominacji, panowania. Stąd zapewne propaguje formuły poetyki, które kosztem autora uprzywilejowują czytelnika i samą opowieść. Literatura osnuta wokół imperatywu czułości także tu zwraca się przeciw figurom władzy i jej cieniem, jakimi są stuprocentowa racja i zamaskowana przemoc.